



1939 (fragment)

Tomasz Łubieński

Published: 2009

Categorie(s):

Tag(s): historia publicystyka 33strony „nowy świat” "wrzesień 1939"

Chapter 1

New Chapter

Czy wrzesień 1939 roku pamiętnego będzie raz jeszcze, na swoją siedemdziesiątą rocznicę tematem jakiejś istotnej a przynajmniej ciekawej dyskusji, którą podniosłe nazwiemy publiczną debatą? Dziś, kiedy odchodzą, zwłaszcza zimą, wśród gwałtownych skoków ciśnienia, odwilży i zamieci, przekraczając z trudem dziewięćdziesiątkę ostatni żołnierze wrześniowej kampanii. Których (czy tylko dlatego, że jest ich już tak niewiele?) pamięta się niewyraźnie.

O wiele słabiej niż powstańców warszawskich. Tu pamięci przychodzą z pomocą fotografie, kroniki filmowe. A na nich młodzi chłopcy w zdobycznych panterkach i hełmach, z literami AK na biało-czerwonych opaskach. Obok sanitariuszki, torba przez ramię i lok spod furazerki.

Weterani 1863 mieli przed wojną swoje doroczne styczniowe święta, defilady z medalami, zbiorowe fotografie. Co więcej, skomponowano i uszyto im okolicznościowe mundury. Według ubiorów którejs z partii powstańczych, co za wszelką cenę (bo to tęsknota każdej partyzantki) chciała wyglądać jak regularne wojsko. Co do przedwojennych polskich mundurów ujednoczonych dla każdej broni, a więc piechoty z numerem pułkowym, kawalerii (kolorowe proporczyki furkoczące pod melodie żurawiejek), strojnej brygady podhalańskiej w pelerynach i kapeluszach z piórkiem, saperów w butach z wysokimi cholewami, marynarki wojennej, artylerii i lotnictwa, to można je oglądać nie tylko w muzeach, również w niejednej szafie, gdzie na pewno przeżyją swoich właścicieli. Nie byłoby więc problemów z rekonstrukcją.

Ale weteranów przegranej kampanii 1939 roku nie pamięta się tak, jak przed wojną pamiętało się o weteranach roku 1863, chociaż od jednej i drugiej klęski do kolejnej niepodległości odległość jest podobna: kilkadziesiąt trudnych lat.

To prawda, podczas kampanii wrześniowej niewiele zostało z tej elegancji, która czyniła z żołnierza, zwłaszcza z oficera, szczególnie kawalerzysty, przedmiot miłości panien i mężatek w każdym domu i w

każdej chatce bez wyjątku, o czym mówi piosenka. Opowiadał mi obywatel miasta Kazimierza nad Wisłą, że kiedy podpity ułan o północy włókł za sobą szablę po bruku, starając się szerokim łukiem ominąć studnię na rynku, w okolicznych kamienicach budziły się młode Żydówki i już długo nie mogły zasnąć.

Wrześniowe wojsko nie było już malownicze: ta szara od nocnego marszu, umęczona kurzem i słońcem, ciągle w odwrocie, czasem w rozpaczliwym kontrataku piechota i konie rozbiegające się na wszystkie strony świata pod bombami. Żołnierze pomieszani z cywilami, oddział, tłum, ludzie, zwierzęta, i jak tu wymagać od młodych lotników z rasy panów, żeby atakując taką zatłoczoną szosę troszczyli się o precyzję.

Zresztą o każdej porze i każdego roku ubywa nie tylko weteranów, również świadków wrześniowej katastrofy, podówczas dzieci. Więc coraz trudniej, a zarazem coraz łatwiej, to znaczy dowolniej będzie się tamtą datę pamiętało. Oczywiście nigdy nie zabraknie oficjalnych uroczystości, czy ewentualnie sporów w ocenach ludzi i zdarzeń, bo z tego żyją uczeni, specjaliści i publicyści. Od wojen, dyplomacji i alternatywnego spekulowania. Ale referatowe pokłosa konferencji na rocznice ukazują się zwykle z szacownym opóźnieniem. Z kolei medialne spory o dzieje najnowsze giną

w bieżącym słowno-muzycznym szumie. A przecież bywa, że całkiem niedawna przeszłość odnosi się do dnia dzisiejszego. Jako źródło, komentarz, analogia, która daje do myślenia, dotyczy nas, dotyka.

Dotyka bezpośrednio, fizycznie: może warto zdać sobie sprawę, że gdyby nie to, co wydarzyło się 1 września 1939 roku i w dniach następnym, życie naszego pokolenia, a także pokoleń obok, czyli po sąsiedzku poprzednich i następnym, wyglądałoby inaczej. To oczywiste, mówiąc emfaticznie – życie narodu, Europy, znacznej części ludzkości, która doświadczyła II Wojny Światowej. Mówiąc prywatnie – każdego z nas. W tym moje własne. Inaczej by wyglądało? Jak mianowicie? Tego nie potrafię i nawet nie chcę sobie, bo po co, wyobrażać. Ale czuję, oglądając się wstecz, że również nade mną, jeszcze niczego wówczas nieświadomym, przesunął się cień historii.

Zdarzyło się nawet, że obchody o kilka lat zaledwie młodszej rocznicy Powstania Warszawskiego odegrały bieżącą polityczną rolę. Powstania, które łączy się z wrześniową katastrofą, dlatego mówię o nim, bo miało być rewanzem, odwetem oczekiwanym przez całą okupację. A tymczasem okazało się tragicznym powtórzeniem, mimo wszelkiej różnicy technicznej i psychologicznej, jaka istnieje między regularną wojną i powstaniem. Powtórką przegranej z tym samym potężnym

przeciwnikiem. Walką podjętą bez szansy zwycięstwa, w które za wszelką cenę umówiono się uwierzyć. W daremnym, raz jeszcze, oczekiwaniu pomocy i odsieczy.

A potem pytania, pytania, nocne rodaków nie tylko rozmowy. Również intrygi, porachunki. Nie brak ich po zwycięstwie, więc tym bardziej towarzyszą klęsce. Bo wprawdzie zwycięzców na ogół się nie sądzi, ale przegranych jak najbardziej.

Wokół pamięci Września i Powstania (będę się odtąd posługiwał taką niepoprawną ortograficznie dużą literą) toczono latami walkę o rząd dusz zamiast walki o władzę, która to walka została rozstrzygnięta, póki obowiązywało gwarantowane geopolitycznie hasło powtarzane przez Władysława Gomułkę, a także jego następców: „Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy”.

Zrozumiałe, że nie wspomniał Gomułka, może nawet nie pomyślał, z czyją – no bo z obcą pomocą i przemocą zdobytej. Ale też nie musiał się tym dreńczyć, bo wszelka władza w niejasnych przypadkach powołuje się na wyższą sprawiedliwość dziejową, na straży której czuje się przez historię stawiana mocą faktów dokonanych.

I tu dodajmy Gomułce do towarzystwa, tak trochę na złość, czołowego sanacyjnego pułkownika Bogusława Miedzińskiego, przedwojennego marszałka Senatu, który z otwartością godną towarzysza Wiesława oświadczał: „Jesteśmy skazani na dożywotnie rządy”. Wielce to podobny sposób myślenia: zdradza prędzej czy później groźną dla każdej władzy, doraźnie wygodną arogancję. Poczucie, że jest się jakoś tak misyjnie, a jak trzeba to dla dobra sprawy siłowo, nie do zastąpienia. Tak cynicznie? Jeszcze gorzej. Bo z pełnym przekonaniem. „Nasz wiek jest wiekiem propagandy, a nie demokracji”, pisał mądry Józef Rettinger w „Wiadomościach Literackich”. Nasz XXI wiek również.

Rządzący Polską niepodzielnie, zazdrośnie przed 1939 rokiem, przegrali wrześniową próbę i zapewne nie można było jej wygrać, tylko że oni uczynili to w złym stylu. To znaczy zbyt wielu z nich nie zdało egzaminu w sprawie smaku. O potędze smaku pisał Herbert. W tym wypadku dowodem smaku byłaby skrucha, przyznanie się do błędów i zaniedbań, których przyczyną była właśnie arogancja, siostra ignorancji. Przyznanie się choćby po latach.

Niestety, jaki polityk czy wojskowy dobrowolnie przyzna się do odpowiedzialności za przegraną? Zresztą nie musi. Zrobią to za niego rywale i przeciwnicy polityczni. A także wrogowie. Klęska wrześniowa dostarczyła satysfakcji wrogom Polski, których nigdy nie brakowało, bo jest to kraj, wbrew temu co ciepło sam o sobie zwykł myśleć, kłopotliwy.

Nieustawny, to znaczy ani przyzwoicie, sympatycznie mały, ani wystarczająco duży i ważny stosownie do swoich ambicji, i o samym sobie wyobrażeń.

Polski ambasador w Paryżu Juliusz Łukasiewicz, nie czekając na wojnę, napisał książkę pt. „Polska jest mocarstwem”. Zdaniem Mussoliniego, które chętnie sobie w Warszawie powtarzano – „Polska jest mocarstwem niezależnym”. Niezależnym – to była prawda, jednak czy mocarstwem? Raczej, jak to ktoś określił, „mocarstwem kieszonkowym”. Tylko że Łukasiewicz, jako urzędnik państwowy mógłby się nabawić kłopotów służbowych i towarzyskich. Podobnie jak wszyscy, którzy publicznie wątpili w polską siłę militarną.

Ale jeszcze o Powstaniu: przywołane obchody 50-lecia a już najwyraźniej 60-lecia, zdominowała legenda, która za logiczny skądinąd punkt wyjścia przyjęła stwierdzenie, że skoro Powstanie było, to widocznie, najlepszy dowód, być musiało, co więcej takie, jakim właśnie poczęstowała nas historia. Inaczej mówiąc nie ma tu o czym deliberować. Wystarczy po wojskowemu po prostu pamiętać i czcić. A rozmaite pytania, dociekania, wydziwiania co do przewidywań, przygotowań, decyzji, dowodzenia Powstaniem i jego skutkach z użyciem niesympatycznych słów jak szanse, sens, koszty i to jeszcze ze znakiem zapytania, są bezprzedmiotowe. Nie tylko dlatego, argument nieodparty, że sprawa dotyczy czasu zaprzeszłego, czasu bezpowrotnego. Po prostu grymaszenie na przeszłość nie ma racji bytu, nie może liczyć na większe społeczne powodzenie, kiepsko się sprzedaje, dość mamy bieżących kłopotów, żeby udrećcać się przeszłością.

O zwycięstwie legendy zdecydował też szantaż patriotyczny, który patriotyzm wymuszał, kiedy innego sposobu na jego wykrzesanie nie było. Jak się okazało i w wolnej Polsce (a czemuż by nie, skoro należy do zasłużonej tradycji) ma legenda oficjalne, mocne prawo obywatelstwa. Stąd niedawne obchody rocznicowe upływały pod rozwiniętymi chorągwiami polityki historycznej, której niejako z natury dobrze służą multimedia, odwołujące się do umasowionej wyobraźni.

Chapter 2

New Chapter

Ale przecież, tylko spokojnie, bez konserwatywnej hysterii, media same przez się, niejako z góry nie są złem, po prostu należą do dzisiejszego świata (innego świata nie będzie) więc trzeba im dać szansę. Że to na swój sposób możliwe świadczy Muzeum Powstania Warszawskiego (tylko pamiętajmy, że historia Powstania zaczyna się we Wrześniu). Muzeum jest sukcesem. Oczywiście refleksji nie gwarantuje, trzeba ją sobie zapewnić już we własnym zakresie. Przemawia do, przypomina że, czasem nawet zbyt dosłownie.

Opowiadał mi uczestnik Powstania (przedtem w Kedywie), naprawdę bohater, kawaler Virtuti Militari, że po prostu uciekł z Muzeum. Wypłoszył go sugestywnie przywołany grzmot niemieckich butów o bruk. Pamiętał ten odgłos: nie wszyscy weterani lubią wspominać tamte czasy, chociaż byli młodzi, walczyli i przeżyli. Cywile również nie lubią: moja matka zawsze wyłączała telewizor, kiedy rozpoczynała się filmowa strzelanina z lat wojny czy okupacji.

Nawet na Krecie – mimo, że urodził się tam Zeus, mieszkał ogólnie znany potwór Minotaur, inżynier Dedal, twórca labiryntu i jego nieszczęsny syn Ikar, król Minos i perwersyjna królowa Pazyfae z córkami, tragiczną miłośnicą Fedrą i Ariadną, którą na pobliskiej wyspie Naksos opuścił, na rozkaz Dionizosa, dzielny zabójca Minotaura, ateński królewicz Tezeusz, mimo wielu innych bogów, półbogów i bohaterów, et caetera i tak dalej, słowem tego wszystkiego, co razem stanowi naszą europejską własność i mimo że od lat pływamy tam i nurkujemy w międzynarodowym towarzystwie, tańczymy i popijamy schłodzone wino przy akompaniamencie cykad, nie mówiąc już o innych wakacyjnych przyjemnościach – a więc nawet na Krecie ludzie pamiętają o wojnie!

A najstarsi Kreteńczycy, ubrani na czarno, wsparci na kijach z oliwkowego drzewa, jeszcze słyszą, wspominają taki sam jak ten, który wita w progach Muzeum Powstania Warszawskiego, łoskot podkutyh

niemieckich butów. I pytają, popijając łagodny winogronowy bimberek domowej fabrykacji, przy stolikach nakrytych ceratowym obrusem w kratkę z widokiem na morze albo góry, co to znaczy „Deutschland, Deutschland über alles”, bo niby rozumieją co to znaczy, albo mogą spytać, przecież turyści i letnicy niemieccy są mile, licznie widziani, tylko dlaczego „ponad wszystko”?

Ja najmocniej przeżyłem kolejną rocznicową wizytę w Muzeum, kiedy prosto stamtąd pojechałem na Powązki. I po zwiedzaniu multimedialnej ekspozycji pełnej życia, ruchu, głosów, muzyki, wibracji, wybuchów i komunikatów, usłyszałem brzoźową ciszę, w której bohaterowie poznani w Muzeum, to znaczy tyłu spośród nich, leży pod białymi krzyżami. A po sąsiedzku, jakżeby inaczej, w swojej kwaterze, rzadziej odwiedzani, bo już niewielu zostało im najbliższych, odpoczywają, śpią snem wiecznym, tak się ładnie mówi, a tak naprawdę obracają się w proch, w niepamięć, żołnierze Września.

No właśnie, Września dużą literą. Znowu mi się samo tak napisało. A gdyby ułożyć jakiś polski kalendarz historyczny, miesiąc po miesiącu, może niejeden miesiąc, pisany dotąd prawidłowo z małej litery awansowałby ortograficznie do dużej, ewentualnie jeszcze z jakimś towarzyszącym przymiotnikiem. Taki pomysł.

Spróbujmy po kolei. Po prostu Styczeń: to miałyby znaczyć w domyśle Powstanie Styczniowe? Raczej nie, to nie brzmi. Lepiej zostawić, jak jest. W lutym, tak na wyczucie, niewiele się nam wydarzyło. Jedna Olszynka Grochowska pędzła Wojciecha Kossaka jeszcze nie czyni historycznej wiosny. Rewolucja lutowa to nie u nas tylko obok, w Rosji – słowem kalendarzowy odpoczynek.

Ale już marzec, rozumiemy dość jednoznacznie i współcześnie jako Marzec, czyli wydarzenia marcowe 1968 roku.

W kwietniu, jak w marcu, zdarzyła się przedwojenna konstytucja, chociaż całkiem inna. Również przysięga Kościuszki na krakowskim rynku. Chyba mało kto pamięta, że wypadła akurat w kwietniu?

Maj, czyli majowa jutrzienka, szczególnie „Vivat maj, trzeci maj, dla Polaków błogi raj”, czyli rocznica Konstytucji, tej najślawniejszej majowej, z 1791 roku. Słowem maj, wystarczająco patriotycznie umajony, nie potrzebuje dużej litery.

Natomiast Czerwiec mógłby nawet obyć się bez przymiotnika „poznański 1956”, czy „radomski” (20 lat później). Jeśli z kontekstu wynika, o które wydarzenie chodzi.

Nic się na to nie poradzi, że lipiec, odkąd Manifest PKWN przestał być powodem do świętowania, utracił historyczne znaczenie.

W sierpniu bodaj najwięcej się działo. Bitwa Warszawska 1920 roku. Powstanie Warszawskie: piszę Powstanie dużą literą podobnie jak Wrzesień. A Sierpień, po prostu Sierpień, ewentualnie z przymiotnikiem „Polski”, czyli Polski Sierpień, kojarzy się z Solidarnością.

Wrzesień, podobnie jak wcześniej Marzec i Czerwiec wszedł już tu i ówdzie z dużej litery do potocznej pisowni,

a więc ma pewne szanse na oficjalne ortograficzne uznanie.

Podobnie Październik – oczywiście nie ten wielkosoc-jalistycznorewolucyjny październik Majakowskiego, który „dmuchał jak zawsze wiatrami październik” i w ciągu dziesięciu dni wstrząsnął światem..., tylko nasz lokalny z 1956 r., Polski Październik, jak Polski Sierpień – w końcu nie tylko dla Polski ważny.

Przewracamy następną kartkę. „Listopad dla Polaków niebezpieczna pora”, zwłaszcza wiadomej Nocy Listopadowej, która za sprawą Wyspiańskiego stała się tak ważna również dlatego, że poprzez jej nieobliczalne konsekwencje, czyli klęskę Powstania Listopadowego mogła powstać wielka literatura Wielkiej Emigracji. Również w listopadzie – radosne, bez względu na pogodę, odzyskane listopadowe Święto Niepodległości.

Ale już grudniowi może przydać się zmieniona ortografia. Grudzień, czyli wypadki na Wybrzeżu 1970 r., albo Grudzień jako stan wojenny 1981 r. I gdyby nie Boże Narodzenie, domowe święto obchodzone niezależnie od wiary czy niewiary, można by powiedzieć, że polski kalendarz niewesoło się zamyka.

A więc Marzec, Czerwiec, Sierpień, Wrzesień, Październik i Grudzień. Ponad połowa kalendarza z dużej litery. Są to imiona własne, mówiąc po francusku noms propres. Z wyjątkiem Września, wszystko wydarzyło się po wojnie. Należy do historii najnowszej, to znaczy, moim zdaniem, jeszcze nie do prawdziwej historii. Imiona te są tak blisko, że aby przywołać ich pamięć, wystarczy nazwa któregoś z wymienionych miesięcy.

Ale Wrzesień, niech mu będzie Polski Wrzesień, jest tu najważniejszy. Bo gdyby nie wojna, która we Wrześniu się rozpoczęła, nigdy by się nie wydarzyły wszystkie te polskie miesiące pisane z dużej litery, które należą do naszych dziejów najnowszych. I właśnie z powodu Września takie było, nie żadne inne alternatywne, lepsze czy gorsze, życie polskich pokoleń.

Chapter 3

New Chapter

Czy istnieje legenda Września? Jak legenda Powstania? Powiedziałbym nawet, że to legenda Powstania pamięć Września usuwa w cień. Bo to więcej niż legenda: legenda przekuta w mit, w prawdę legendy, bo legenda też jest jakąś prawdą. To znaczy z biegiem dni, biegiem lat, prawdą się staje i tryumfuje, bo zdolna jest nawet pokonać świadectwa, zakwestionować dokumenty. Co z tego, że przeciwstawiali się kiedyś legendzie Powstania na przykład generał Władysław Anders, redaktor Jerzy Giedroyc, Stefan Kisielewski, ten ostatni nie dość, że pisarz, kompozytor, publicysta, to jeszcze uczestnik Powstania. Podobnie jak nieletni wówczas Jan Ciechanowski, po latach historyk Powstania, czy przyszły poeta Bolesław Taborski. Ich prawda o Powstaniu rozmija się z legendą. Więc przegrywa z innymi wspomnieniami, które lepiej odpowiadają, przyjętemu za obowiązujące, społecznemu zamówieniu.

Opowiadał mi pewien bohater Powstania, trzykrotnie ranny, cudem ocalony, choć właśnie w Powstaniu stracił wiarę, że nie może dogadać się z kolegami, których pamięcią bez reszty zawładnęła legenda. Dopytywałem się, jak on sam, skoro jego towarzysze broni coraz mniej skłonni są przyznać się do jakiejś słabości, dawał sobie radę z arcyłudzkiem uczuciem strachu. Otóż mój bohater rzeczywiście nie bał się, ale interesujące zastrzeżenie, miał po temu prywatne powody. Po pierwsze wiedział, że na pewno zginie, czyli był spokojny. A poza tym w ogóle brakuje mu (taki defekt) wyobraźni.

Więc, skoro nie bardzo mógł sobie wyobrazić w jaki sposób zginie, nie upierał się przy rozmyślaniach o własnej śmierci. Zresztą okazji do niej miał bez liku, niektóre nawet wspomina ze szczególnym humorem: oto nie sięgnął go miotacz płomieni, wiatr zakreślił w drugą stronę i Niemiec, dobrze mu tak, sam się żywcem spalił.

Nikt z wyżej przywoływanych z imienia posiadaczy gorzkich refleksji o Powstaniu nie był nigdy w życiu komunistą, czy choćby zwolennikiem władzy ludowej, która istotnie w złej wierze, czemu trudno się dziwić,

na rozmaite sposoby zwalczała, pomniejszała, fałszowała i prawdę i legendę Powstania. Naprawdę nigdy do końca się z nimi nie pogodziła, broniąc swojego wątpliwego legitymizmu. Słowem: wszyscy pozostali myślący inaczej niż każe legenda, zwolennicy Polski wolnej i niepodległej, ale odporni na mit, muszą trafić między malkontentów, mizantropów i sceptyków, jak ich określił w rocznicowym przemówieniu powszechnie poważany świadek, kronikarz, uczestnik historii, w tym Powstania prof. Władysław Bartoszewski, niezmiennie wierny swoim emocjom sprzed lat sześćdziesięciu.

Pamięć Powstania przyćmiewa pamięć Września, nie tylko dlatego że jest o całych pięć ciężkich lat okupacji młodsza. Po Wrześniu nie została legenda życia i śmierci z pełnymi radości życia właśnie i junackiego humoru skocznymi piosenkami, które śpiewano w Powstaniu. Wrześniowa legenda jest tragiczna, ponieważ bliska prawdy. Prawdziwe wrześniowe świadectwa nie upiększają klęski. Poza kilkoma przykładami nieuleczalnego wojskowego samochwalstwa. I wynoszenia lokalnych, przejściowych sukcesów wysoko ponad ich rzeczywiste znaczenie.

Niepopularne, krępujące słowa-hasła, jak: wina, błąd, lekcja, sąd historii, czy mówiąc zwyczajniej, historyczna recenzja potomnych, mają na przykładzie Września większe szanse, niż wobec Powstania. Które wciąż bywa traktowane namiętnie, osobiście, a także politycznie, nawet komercyjnie. Co w sumie nie sprzyja refleksjom ani ocenom. Oczywiście, są to wszystko nadobowiązkowe roztrząsania, luksusowe wzruszenia, dostępne dla ludzi, którzy chcą widzieć coś poza swoim wydłużonym przez kryzys nosem. Którym pamięć historyczna (byle nie polityka, czyli historyczna propaganda), jest do czegoś pomocna. Na przykład do poukładania sobie relacji z naszą terażniejszością, do krytycznego jej zrozumienia.

No, powiedzmy może mniej ambitnie, że niedawna przeszłość po prostu zaciekawia. To już byłoby coś. I emocjonuje. To nawet bardzo wiele, byle nie wpadać w toksyczne emocje i nie ułatwiać sobie sprawy, zwalając całą odpowiedzialność za polskie katastrofy na złe, obce, zewnętrzne moce. Na przekłętę, geopolityczne przeznaczenie. Wrogów Polsce nie brakuje i nigdy nie brakowało, choć chętnie dziwiliśmy się temu, przekonani o swojej niewinności. A wrogowie, jak na nich przystało, intencje też mieli wrogie i siły często wielokrotnie potężniejsze. I rozbiorowa tradycja z końca XVIII wieku, kiedy to trzy drapieżne orły czy sępy rozdziobały Rzeczpospolitą na części, powtórzyła się siedemdziesiąt lat temu w demonicznej odmianie. Tym razem malownicze ptaszyska zostały zastąpione przez uproszczone graficznie symbole.

Niby jakieś narzędzia tortur: swastykę oraz sierp i młot. Zaborców było tylko dwóch, ale, można by powiedzieć, nowej, nieznaney dotąd generacji. Zaczęli od podboju Polski, a mieli zamiar podbić i zmienić cały świat. Ale każdy na swój nieludzki obraz i podobieństwo. Więc tylko co do zguby Polski, na zgubę Polski jakoś potrafili się, do czasu, porozumieć.

We Wrześniu, jak później w Powstaniu, nikt nam naprawdę nie pomógł. Chociaż we Wrześniu mieliśmy zobowiązanych własnoręcznymi podpisami, układami sojuszników.

Z kolei w Powstaniu trudno było się pogodzić z dwuznaczną sytuacją. Bo znikąd pomocy, a do tego główny sojusznik naszych od pięciu już lat sojuszników ociąga się z pomocą, mając inne co do nas plany, więcej, wszelką pomoc właściwie uniemożliwiał. Jak mógł i jak śmiał? A czego można było się po nim spodziewać? Przecież pięć lat wcześniej, we Wrześniu, napadł na Polskę.

Tym razem zaczekał aż Niemcy rozprawią się z Powstaniem. I nie został za to przez wolny świat potępiony, bo doraźnie byłoby to niewygodne, a potem, z czasem, czemu nie, jak najbardziej, tym bardziej, że nie ma to już praktycznego znaczenia.

Zło ma to do siebie, że nigdy samo nie uderzy się w piersi, inaczej nie byłoby złem, prawda? Co gorsza, jak tłumaczy nasze judeochrześcijaństwo, zło jest potrzebne światu, historii, człowiekowi. Moralnie. Żeby człowiek potrafił zło od dobra odróżnić. Poza tym trudno jest, jak ewangelicznie chciał Jan Paweł II, zło dobrem zwyciężyć. Łatwiej, skuteczniej zło złem. W ostatniej wojnie światowej stalinowskie zło odegrało właśnie główną rolę w pokonaniu zła hitlerowskiego. Czy istniał dobry wybór między Stalinem i Hitlerem? Niektórzy się zastanawiali, który większym, który mniejszym złem. Hitler czy Stalin? Stalin czy Hitler? Jeden zbrodniarz i drugi zbrodniarz. Każdy inny. Jeden gorszy od drugiego. Ale w końcu który gorszy? Wiele przy odpowiedzi zależało od wojennych losów pytanego. Ale czy w ogóle był sens ich porównywać? Powiedzmy, że chociaż byli to śmiertelni wrogowie – uzupełniali się. Może nawet chwilami w duchu podziwiali? W każdym razie po podpisaniu Paktu Ribbentrop-Mołotow, 24 sierpnia 1939 r., Stalin wznosił toast nie tylko za wznowioną współpracę niemiecko-radziecką, ale też osobiście za zdrowie Hitlera. Ten ostatni nie był tak wylewny, niemniej jednak w Polsce, we wrześniu 1939 r. doszło między nimi prawie na dwa lata do owocnej współpracy.

Hitlerowcy przeprowadzili akcję A-B, zaawansowaną próbę fizycznej likwidacji polskiej inteligencji, lokalnych elit w zachodnich województwach, przesiedlali kogo chcieli do Generalnej Guberni. Niepodpisanie

volkslisty, jeśli miało się taką możliwość, groziło ciężkimi konsekwencjami.

W państwie Józefa Stalina dokonano wielkich wywózek Polaków na Sybir, zmuszano do przyjmowania radzieckiego obywatelstwa, w masowych rozstrzeliwaniach ginęli polscy oficerowie. Czy była jakaś wymiana doświadczeń, wzajemne uzgodnienia? Wiadomo tylko, że wysocy rangą funkcjonariusze Gestapo i NKWD spotkali się na przełomie 1939 i 1940 roku w Zakopanem.

W każdym razie lojalni wobec siebie przez prawie dwa lata partnerzy, nie tylko w sprawie rozwiązywania problemu polskiego, obdarzali siebie pewnym, ograniczonym z natury rzeczy, zaufaniem. Niemcy dość hojnie dzielili się, oczywiście w sposób przemyślany, osiągnięciami swojej techniki wojskowej, strona radziecka rewanżowała się barterowo, surowcami i żywnością.

Chapter 4

New Chapter

Do jakiego stopnia pytania o szanse, a w związku z tym o koszty Powstania, które zadawali sobie malkontenci, mizantropi i sceptycy, niektórzy wymienieni tu z imienia i nazwiska, mają sens wobec Września? Dotykamy sprawy rewizjonizmu historycznego, dla którego wszystko jest możliwe. Alternatywa bywa bardziej przekonująca niż wydarzenia, które faktycznie miały miejsce, a dzisiejsza wszechwiedza pozwala bez skrupowania wyrokować o przeszłości. Wiele pytań, kiedy myślimy o Powstaniu i Wrześniu, będzie się powtarzało. Stąd przypominę sobie trochę wrażeń z rocznicowych spotkań, których tematem była, jakby to zarozumiale nie brzmiało, ocena Powstania.

Gdzieś około 50. rocznicy Powstania zaproszony do telewizji słowami: „Bo pan jest przeciw powstaniu”, znalazłem się w dyskusyjnej mniejszości. Żeby „co było do okazania” (przypomina się CBDO ze szkolnych zeszytów), okazało się że niby tragedia, niby klęska, a tak naprawdę – Victoria. Patriotyczna, w każdym razie. Jak wiadomo, wszelkie znaki zapytania, trzykropki, tryb warunkowy, zdania złożone podrzędnie nie sprawdzają się w telewizyjnej gramatyce. Raczej zdecydowane pojedyncze kropki, a najlepiej wykrzykniki. Powiedzmy, że powoływałem się na liczbę ok. 200 tys. ofiar Powstania. Jakie około? Najwyżej 180 tysięcy – prostuje mój kompetentny antagonist, który więcej (naprawdę wiele) wie, mniej rozumie. I już leci na ekranie następne pytanie. Albo innym razem, historyk-polityk, czy raczej od pewnego czasu polityk-historyk, w każdym razie profesor nieustający, po prostu stwierdza, że to dzięki Powstaniu nasz kraj nie zasilił wielkiej rodziny Republiki Radzieckich jako kolejna spośród nich siedemnasta. I nie ma cierpliwego antenowego czasu, żeby tłumaczyć, że Powstanie ma tu niewiele do rzeczy. Polska walczyła na wszystkich frontach, powstawała przeciw Niemcom, i co z tego. Węgry czy Rumunia walczyły u boku Hitlera. Czechosłowacja miała dwa powstania, krótkie praskie i poważne słowackie. Bułgaria trzymała się z boku. A jak określić wojenna

przeszłość NRD? Ale wszyscy otrzymali podobny satelicki status. Kraju Demokracji Ludowej. Oczywiście każde z tych państw miało inny stopień zniewolenia, zależności od moskiewskiej centrali. Inną, również przez wojenne doświadczenia powojenną historię, narodową specyfikę. Jedno pewne: Stalin, to Stalin zdecydował o równoległym, dość elastycznym dla wszystkich modelu stopniowanej sowietyzacji, powolnego trawienia. Ale umarł. A co było potem, to już inna skomplikowana historia.

No właśnie. Skomplikowana, ale jak tu się przebić ze znakami zapytania? Z pytaniami, czy może rozczarowani klęską Powstania i tym, że Zachód nie pomógł, Zachód przede wszystkim, bo od Armii Czerwonej jakby mniej się wymagało. Że zniszczenie Warszawy, a potem jej odbudowanie ułatwiły jednak pogodzenie się społeczeństwa z nową, niechcianą władzą? Albo jak przekonywająco zaprzeczyć Normanowi Daviesowi, który napisał, że straty niemieckie i powstańcze (żołnierskie) w zabitych były porównywalne. To tak dobrze, budująco brzmi, chociaż naprawdę, znowu podobnie jak we Wrześniu, zginęło Polaków z bronią w rękę, nie licząc ludności cywilnej, wielokrotnie więcej niż wrogów. I inaczej być nie mogło wobec niemieckiej przewagi technicznej i logistycznej. Czy we Wrześniu, czy w Powstaniu. A słusznej sprawy wyższość moralna oraz bohaterstwo, nie mogły żadną miarą takiej przewagi zniwelować.

„Na żywo”, czyli w sytuacjach kiedy przed widownią nie chroni telewizyjne szkło, bywało mocno nieprzyjemnie. Kiedyś sam Jan Nowak Jeziorański uczynił mi zaszczyt mianując partnerem do dyskusji o Powstaniu, dyskusji publicznej dla Polskiego Radia w salach Muzeum Historycznego na Starym Mieście. Ale kiedy zacząłem, taka moja rola, utyskiwać na fatalne uzbrojenie, złe dowodzenie, polityczną naiwność, szafowanie w Powstaniu najlepszą krwią, słowem szukając dziury na całym upiękuszonym obrazie Powstania, krzepcy jeszcze (było to kilkanaście lat temu) kombatanci zaczęli powstawać z krzesel. Stała mi wówczas scena z Potopu, kiedy Butrymowie brali się za Kmicicową kompanię. Tyle, że tam podnosili się z ciężkich, nie dla Butrymów ław. Ale odgłos był zbliżony, przesławne, groźne „rum rum” i sam Kurier z Warszawy musiał zapobiec nieobliczalnej awanturze, przyznając mi prawo do wyrażania własnej opinii.

A potem podzieliłem się z Nowakiem-Jeziorańskim tym literackim skjarzeniem, jako że obaj kochamy Sienkiewicza.

Innym razem szczęśliwy, bo ocalał w dobrym zdrowiu i z dobrą pamięcią bohater Powstania, odpowiedział na moje narzekania, że o

Powstaniu nie powinni wypowiadać się ci, którzy nie brali w nim udziału.

Ale ja przepraszam, czy to znaczy, że Powstanie ma być wyłączną własnością jego przedostatnich już weteranów? A co na to wszyscy nie-weterani? Których jest coraz więcej, bo wciąż rodzą się tak zwane nowe pokolenia, dla których przyszłości, tak się mówi, podjęto powstańczą walkę? Czy ci obdarowani pamięcią Powstania nie mają prawa do większej dociekliwości, zadawania pytań? A gdyby ktoś zaproponował odwrotnie, na przekór, że to właśnie akurat może kombatanci nie powinni zabierać głosu we własnej sprawie, tylko spokojnie, pozostając przy swoim, wysłuchać jak też Powstanie postrzegane jest z dystansu? Ponieważ ich emocje, oceny, oparte na wspomnieniach będą zawsze subiektywne i powiedzmy sobie otwarcie: biologia zaciemnia, czy raczej nadmiernie rozjaśnia perspektywę.

Bywa też odwrotnie: nie brakuje młodych, czy średnio-młodych miłośników wojen i entuzjastów powstań w różowych technikolorach, którym nie pasują jakieś pesymistyczne wspomnienia. Oczywiście, niczego podobnego nie wypada głośno powiedzieć, a poza tym między uczestnikiem czy naocznym świadkiem historii z jednej, a krytycznym badaczem źródeł z drugiej strony toczą się klasyczne spory, czasami mocno nieprzyjemne. Ktoś pamięta wyraźnie i wydaje mu się, że działo się to wczoraj. Skąd strzelał, z jakiej broni, o której godzinie, czy już padało, czy jeszcze świeciło słońce, pod którym dowództwem, czy chciało mu się raczej pić czy spać, gdzie stali Niemcy, gdzie nasi, kto się sprawdził, kto załamał. Tymczasem rozmaite relacje się nie zgadzają, z dokumentów też wynika inaczej. Ale one również mogą się mylić.

I oto młody historyk, krępująca sytuacja, poucza weterana, kiedy tamtego zawiodła pamięć, gdzie pomylił się, w którym momencie dopuścił się błędu, jak zachował się naprawdę, a jak powinien był. I oto w psychice kombatantów, którzy ryzykowali bezinteresownie, dla patriotycznej idei, w miarę upływu lat pogłębiają się roszczenia. Rodzą się pretensje do podziwu, posłuchu, oraz poczucie wyższości. To zrozumiałe, i co mogłem odpowiedzieć starszemu panu z rozetką Virtuti w klapie niemodnej marynarki, kiedy publicznie huknął na mnie, że wymyślam bzdury na temat porażki Powstania, podczas gdy on pamięta te chwile, kiedy nad Warszawą załopotąła biało-czerwona flaga. I tej chwili nie zapomni aż do śmierci. Na szczęście we własnym łóżku. A nie zasypany pod gruzami, rozerwany na strzępy, ranny i spalony żywcem, ustrzelony przez gołębiarza. Można by tak dalej wyliczać, tylko po co.

Ale najgorzej było, przykra niespodzianka, podczas spotkania w mieście

Kędzierzyn-Koźle, daleko od Warszawy. Tam, na Dolnym Śląsku, spodziewając się krytyki Powstania, dla równowagi i sprawiedliwości zaokrąglam refleksje, wystrzegałem się wszelkiego dyskusyjnego ryzyka. Co jednak nie wystarczyło, przeciwnie, jeszcze rozeźliło radykalnych słuchaczy z rodzin kresowych, jak się okazało. Więc zostałem nawet przez miłą panią, która prowadziła spotkanie, oskarżony o z gruntu polskiemu duchowi obcą kupiecką mentalność. Że niby co się w historii kalkuluje, jakie są koszty zrywu patriotycznego, które ponoszą przecież nie tylko jego bohaterowie, również osoby towarzyszące oraz przypadkowe. I tak jest słusznie, powiedziano mi, było tak zawsze i tak ma być.

W podobnych sytuacjach czułem duchowe wsparcie wielkich Mizantropów, Malkontentów i Sceptyków, ale wiadomo, że im wolno więcej, wolno wszystko, a zresztą kto tam dokładnie wie, że mieli jakieś odmienne zdanie, nieważne, skoro wygrywa legenda. I nie tłumaczy mnie wcale data urodzenia: jako parolatek mógłbym przynajmniej kibicować trochę tylko starszemu Antkowi Rozpylaczowi. Niby nie moja wina, bo czy ode mnie zależało, że wojnę spędziłem u rodzzonego dziadka na rzeszowsko-tarnowskiej wsi. Ale wobec tego mógłbym przynajmniej powstrzymać się od zabierania głosu w sprawie Powstania. Tym bardziej, że nikt z mojej galicyjskiej rodziny w Powstaniu nie walczył.

Chapter 5

New Chapter

Co innego we Wrześniu 1939 r. Mój ojciec, oficer rezerwy, dostał Krzyż Walecznych za Kampanię Wrześniową. Tym cenniejszy, że przyznały go emigracyjne władze w Londynie. Mimo że on sam mocno naraził się emigracji, powojennym zaangażowaniem w krajową rzeczywistość i mało tego, namawiał emigrantów do powrotu. „Co my z panem, Panie Konstanty, zrobimy – powiedział mu podobno generał Anders – przecież Pan jest porządnym człowiekiem”. Krótco przed śmiercią ojciec napisał i wydał „Kartki z wojny”, które rozpoczynały się właśnie w 1939 r. Szczerze, a więc prawdziwie, na ile było to możliwe w warunkach cenzuralnych, przedstawił co go we Wrześniu spotkało i, dla mnie to najważniejsze bo źródłowe, jak o tym myślał wówczas, a nie dopiero po latach wojny, okupacji i Polski Ludowej.

Poza tym w ówczesnym MSZ pracowało trzech jego krewnych.

Michał Łubieński, Dyrektor Gabinetu ministra Becka, był tegoż codziennym współpracownikiem. Pozostawił po sobie maszynopis zatytułowany „Refleksje i reminiscencje”, pisany w końcu 1940 i w 1941 roku w polskiej komendzie miasta Perth (Szkocja). Prócz przenikliwych uwag na temat przedwojennego państwa znajdziemy tam świadectwo człowieka, który towarzyszył Beckowi w ważnych podróżach dyplomatycznych oraz był uczestnikiem doniosłych spotkań i narad.

Ludwik Łubieński został w 1939 roku jednym z sekretarzy Becka. Podczas wojny był adiutantem Andersa, po wojnie pracował w Radiu Wolna Europa.

Aleksander Łubieński, był Dyrektorem Protokołu Dyplomatycznego. Według innych źródeł tylko pełniącym obowiązki przypisane do tego stanowiska, przedtem attache wojskowym w Helsinkach i w Paryżu. Nic o nim nie wiem, ale poseł francuski w Warszawie Jean Laroche sporządził na prośbę premiera Brianda poufną charakterystykę tego dyplomaty: „Kapitan Łubieński sprawia wrażenie bardzo inteligentnego człowieka... Jak sądzę, nie zaniedba niczego, aby wyrzec pozytywne

wrażenie na osobach, z którymi będzie w kontakcie. Nie uważam jednak, aby te cechy miały wpływać na okazywanie mu zupełnego zaufania (przynajmniej do czasu uzyskania pełniejszych informacji)... Były oficer carski – jest sympatyczny, miły, inteligentny i subtelny. Mimo że utrzymujemy z nim serdeczne stosunki, to wydaje mi się, iż nie należy sobie robić wielkich złudzeń. Z punktu widzenia jego uczuć wobec Francji, nie uważam go za absolutnie pewnego... Jest oportunistą i obecnie gra kartą Marszałka”.

Jak na stosunki między sojusznikami, raport nie sprawia dobrego wrażenia. I takie też były wzajemne przedwojenne relacje między Francją i Polską. Polska w osobie ministra Becka robiła Francji na złość. Francja traktowała Polskę protekcyjnie, rozdrażniona z powodu swojego słabnącego w Europie autorytetu. Rzeczywiście istniała groźba, że Francja zagwarantuje sobie pokój i granice z Niemcami, pozostawiając otwartą sprawę niemieckich roszczeń na Wschodzie, to znaczy wobec Polski. Ale Beck zwalczał również antyniemieckich polityków związanych z Francją: Titulescu w Rumunii i Benesza. Ten ostatni istotnie był Polsce nieprzyjazny, ale swoją drogą nie uczyniono nic, aby zmienić to nastawienie. Przeciwnie, zdaje się że wrogość i lekceważenie Czechosłowacji były stałym elementem polskiej polityki zagranicznej. Drażniły też Polskę francuskie sympatie i zabiegi niegdyś wokół Rosji, aktualnie wobec Związku Radzieckiego.

W tym tradycyjna polska zazdrość o to, kto jest na środkowym wschodzie Europy głównym Francji przyjacielem.

A zatem w rozpamiętywaniu Września czuję się pewniej. A klasyczne pytanie, czy mieliśmy we Wrześniu bić się, czy nie bić z Hitlerem, też zasługuje na zastanowienie. W ogóle jest to trudne jako trawestacja, na historyczny polski użytek, nierozstrzygniętego egzystencjalnego „być albo nie być”. Które bez powodzenia, ale jednak roztrząsał pewien młody książę duński. Podobnie w wersji polskiej nie ma dobrej odpowiedzi na „bić się czy nie bić” w sytuacji, kiedy słuszność jest po naszej stronie, ale mamy gwarantowane raczej tylko zwycięstwo moralne. Natomiast zwycięstwo po prostu, zwycięstwo tout court okaże się doraźną tylko nadzieją, długo się nie spełniająca. Zadawałem sobie to pytanie pisząc o powstaniach polskich dziewiętnastego wieku. Kolejno przegrywanych i znowu powtarzających się z podobnymi błędami i złudzeniami. Również o Powstaniu Warszawskim. Które było tamtych powstań ostateczną, oby ostatnią konsekwencją. Desperackim, tak uważam, zwieńczeniem. W kontekście Września pytanie „bić się czy nie bić”

brzmi jeszcze inaczej. Nie było we Wrześniu żadnego powstania, istniało Państwo Polskie, wojsko polskie, nasza duma. Żadnych butelek z benzyną, broni zrzutowej, zdobycznej, czy domowej roboty, tylko lepsze czy gorsze, oryginalne albo zakupione, ale już polskie czołgi, działa, samoloty i okręty. Piechota i kawaleria lekko zmotoryzowana, lotnictwo i marynarka tak pięknie się rozwijające. Społeczeństwo zostało włączone w te przygotowania. Szkoły, zrzeszenia kupców, gminy żydowskie składały się na uzbrojenie, które podczas podniosłych uroczystości przekazywano wojsku. Latem 1939 roku masowo kopano rowy, przeciągano druty kolczaste. Dozorcy gromadzili piasek i wodę do gaszenia pożarów. Zaklejano szyby paskami papieru, spodziewając się bombardowań. Na Placu Piłsudskiego w Warszawie można było się zapisać na żywe torpedy, według mody, która przyszła z Japonii. W Krakowie pewien hotel udekorował fasadę lufami armatnimi z tektury.

Chapter 6

New Chapter

A zatem, czy można było ustąpić Hitlerowi? Przeciwstawiono mu się wiadomo z jakim skutkiem, więc pytanie powraca tylko teoretyczne, czy nie należało, zamiast liczyć na odsiecz i przeceniać własne siły, raczej cofnąć się, poczekać do lepszej okazji. Czy jednak, tak jak się stało, walczyć bez względu na cenę, którą przyjdzie zapłacić.

Pytań o Wrzesień jest znacznie więcej, niż o Powstanie. Czy ówczesny rząd sanacyjny jest winny wrześniowej klęski?

Inaczej mówiąc, czy ponosi za nią odpowiedzialność, skoro nie chciał jej z nikim dzielić?

Czy się skompromitował? No, tak to wygląda. Niestety.

Czy wobec tego, opozycja miała prawo bezwzględnie, czasem nawet brutalnie rozliczać się z sanacją w chwili klęski narodowej, wykorzystać moment załamania państwa dla przejęcia władzy, eliminować ludzi z rządzącego przed wrześniem obozu, również tych którzy oddawali się nowemu polskiemu rządowi do dyspozycji?

Chyba nie było innego wyjścia.

A czy należało wypowiedzieć wojnę Związkowi Radzieckiemu, skoro Armia Czerwona 17 września przekroczyła naszą wschodnią granicę? Istnieje teoria, że wówczas oficerowie więzieni w Katyniu i innych obozach mieliby jasny status jeńców wojennych. A jednak wydaje się, że prawnicy stalinowskich służb bezpieczeństwa uporaliby się z tym problemem, skoro zapadła polityczna decyzja: „rozstrzelać”. Poza tym represje wobec obywateli wrogiego państwa mogły być jeszcze bardziej rozległe i ciężkie, a i tak niewiele im brakowało. Dokonywano przecież masowych aresztowań i wywózek.

Ale przyszło mi zmierzyć się z tym głównym pytaniem, tzn. czy należało bić się czy nie bić z Hitlerem, jeszcze dawno dawno temu, jeszcze w poprzedniej epoce, przed czerwcem 1989 roku, a prawie pół wieku po Wrześniu. Przy czym pytanie padło w agresywnej, spersonalizowanej formie. No proszę się przyznać, czy Pan, krytykując tutaj nasze

powstania, nawet warszawskie, nie skapitulowałyby przed Hitlerem? To co, może należało w ogóle poddać się Hitlerowi, skoro był o tyle silniejszy?

A więc obie daty 1939 i 1944, Wrzesień i Powstanie, uzyskały wspólny mianownik.

Pytał student zapewne, pod koniec dyskusji na temat Powstania właśnie. W słynnej krakowskiej „Beczce” u dominikanów, prowadzonej przez ojca Andrzeja Kłoczowskiego OP. Duszpasterza akademickiego, który w trudnych latach 80. przywracał młodym ludziom wiarę w sens aktywnego życia tutaj. „Beczka” znaczyła wówczas bardzo wiele, nieporównanie więcej niż zwykły klub dyskusyjny, była nieformalnym środowiskiem rozgrzanej umysłowo młodzieży, ambitnie walczącej z chorobami tamtych lat, tzn. marazmem i frustracją. I wchodząc do „Beczki”, czyli na salę o beczkowatym kształcie, do byłego klasztornej refektarza, pełnego pięknych dziewczyn i odważnych chłopców (te rozchylone usta, gniewne spojrzenia) czułem, że wszyscy albo prawie są przeciw mnie, czterdziestoparoletniemu wówczas malkontentowi, sceptykowi i mizantropowi, chociaż wcale tak o sobie nie myślałem, nie znałem zresztą tej wyliczanki.

Ja, prelegent, z Warszawy, co prawda w pierwszym pokoleniu, ale już zarażony konformizmem, czyli determinizmem historycznym – a tymczasem na miejscu w Krakowie, tym najbardziej tradycyjnym z polskich miast i to

w wersji mieszczańskiej, nigdy nie brakowało radykalnej młodzieży. A w „Beczce” zbierała się ta dobra, radykalna młodzież. Jeszcze w czasie rozbiorów, Galicja (Lwów i Kraków) była Piemontem nie tylko kulturalnym. I to jeszcze na długo przed czynem legionowym. Akurat jadąc na spotkanie, czytałem piękne dziewiętnastowieczne wspomnienia obywateli Krakowa, którzy jako kilkunastoletni chłopcy uciekli do powstania styczniowego. A gdy spotkała ich rosyjska niewola, młodociany wiek, naiwna odwaga budziły, chyba w drodze wyjątku, kozacką litość. Zatem wrócili do Krakowa i być może również ich potomkowie tłoczyli się w „Beczce”. Dość, że panował tam klimat dyskusyjno-insurekcyjny, a w tym klimacie pytanie z Hitlerem w tle brzmiało właściwie retorycznie, prowokacyjnie. Żeby w końcu się samookreślił, przestał kręcić w denerwujący sposób. Więc odpowiedziałem jak trzeba. Odruchowo i bojowo. Prawdę mówiąc, w tamtej atmosferze nie miałem wyboru. A poza tym któżby nie chciał, raz na jakiś czas przynajmniej, spodobać się młodzieży. Być może pomagała mi również dyskusyjna rutyna: nie próbować rozmów na niebezpiecznych przykładach. No bo Hitler! Sama

myśl o jakichś ustępstwach wobec Hitlera wydaje się niedopuszczalna. Więc ja również zadeklarowałem stanowcze „nie” wobec jego bezczelnych żądań. I zostałem chyba pierwszy raz podczas spotkania nagrodzony brawami.

A może, jak to się stało w tym wypadku, czasem najtrafniejsza bywa pierwsza, instynktowna, niechby nawet trochę wymuszona ogólna atmosfera reakcja. Bo dzisiaj po latach utwierdziłem się racjonalnie w przekonaniu, że minister Beck, jakim by nie był ministrem, jako pierwszy w Europie czyli na świecie polityk, stawiając się Hitlerowi w imieniu Polski i swoim własnym, miał rację.

A pewności tej nabrałem, kiedy całkiem niedawno rozmnożyły się głosy na różne sposoby powątpiewające w słuszność owej zaskakującej zmiany linii politycznej polskiego ministra spraw zagranicznych, byłego podpułkownika artylerii konnej.

Bo czego tak na dobrą sprawę, zastanawiają się rewidenci historii, domagał się Hitler. W sumie niby nie tak wiele. Włączenia Gdańska do Rzeszy, czyli uznania niemieckości tego miasta, które akurat wówczas było jednym z najgorliwiej niemieckich, a nawet hitlerowskich miast. A więc potwierdzenia stanu faktycznego, choć zrozumiałe, że ani ten stan, ani ten fakt Polsce się nie podobał. Co do korytarza – stara sprawa, niemieccy politycy Treviranus czy Stresseman publicznie u siebie i przy wszelkich międzynarodowych okazjach podejmowali temat korytarza jako krzyczącą niemiecką krzywdę. Oto ten polski korytarz w sposób nienaturalny rozdziela Prusy Wschodnie od pozostałej ojczyzny. I Zachód współczuł, rozumiał te pretensje, a brytyjski premier Chamberlain już w 1925 r. stwierdził, że polski korytarz nie jest wart życia jednego brytyjskiego grenadiera.

I rzeczywiście dopiero polsko-niemiecki pakt o nieagresji, zawarty z Hitlerem w 1934 r., oznaczał przynajmniej zawieszenie na kilka lat spornych kwestii. Przez owych kilka lat Hitler cierpliwie nie podnosi gdańskich ani pomorskich problemów. Nawet w 1939 r., kiedy stosunki już są bardzo złe, czego zażąda prócz Gdańska, który całym sercem do niego należy? Eksterytorialnej szosy i linii kolejowej w poprzek korytarza. Logicznego ułatwienia niemieckiej komunikacji ze względów ludzkich i gospodarczych. A tym samym potwierdzenia istnienia korytarza. I być może sprawę dałoby się uregulować za pośrednictwem kilku bezkolizyjnych wiaduktów, przy której to okazji pełna polskiej fantazji myśl techniczna miałaby okazję dopełnić się z niemiecką akuracnością.

To prawda: żądania niemieckie zostały wypowiedziane w końcu

kwietnia 1939 w ostry sposób. Ale dopiero wówczas gdy poufna i grzeczna, można powiedzieć bezpośrednio (bo brało w niej udział w sumie 7 osób) rozmowa Hitlera z Beckiem w Berchtesgaden oraz pojednawcze wysiłki Göringa nie przyniosły żadnego efektu. Można było jednak zrozumieć przywódców Trzeciej Rzeszy, a pamiętajmy, że nie byli to gentlemani. Oto Polska, która wydawała się zainteresowana współpracą z Niemcami na zasadzie wzajemnego zrozumienia dla obopólnych interesów, a najlepiej rzeczywiście cudzym kosztem, jak to miało miejsce przy upokarzaniu i rozbiórce Czechosłowacji, umacnia, odnawia sojusz z Francją, zawiera z Anglią, czyli państwami, które zrobiły się w stosunku dla nowych Niemiec nieprzyjazne. A przecież państwa te nie pod żadnym przymusem, tylko z własnej woli i kalkulacji przyjęły do wiadomości, właściwie uznały kolejne sukcesy Hitlera. Remilitaryzację Nadrenii, Anschluss, zagarniecie Sudetów, zajęcie Kłajpedy jako odwieczne niemieckiego Memla, podbój Czech i Moraw, a wszystko osiągnięte sztuką dyplomatyczną, czyli bez wojny. Politycy państw zachodnich bardzo późno zrobili się wrażliwi na opinię publiczną, której się nie podobały wewnętrzne sprawy niemieckie. A wcześniej pokój międzynarodowy, pokój, na który po doświadczeniu I wojny światowej nie było prawie ceny, dla społeczeństw zachodnich oraz ich przedstawicieli stanął na pierwszym miejscu.

Polska prasa tylko częściowo ubolewała nad tym co dzieje się w Niemczech. Natomiast minister Beck dostrzegął w mieszanu się do cudzych spraw niepokojący syndrom „wojen religijnych”. Zwierzył się swojemu biografście Konradowi Wrzosowi, że „Europa wolała obrażać się na Hitlera, niż się z nim ułożyć”. Ale tu Beck nie miał racji. Europa układała się z Hitlerem, choć od początku nie miała o Trzeciej Rzeszy dobrego mniemania. Natomiast uwaga polskiego ministra, wypowiedziana na forum Ligi Narodów, z pewnością podobała się Niemcom. Aby sąsiedzi Niemiec, czy jakieś międzynarodowe organizacje nie przejmowały się zbyt na przykład losem niemieckich Żydów, losem, który w majestacie prawa regulowały ustawy norymberskie. A także obywatelskie inicjatywy, czy rozporządzenia lokalnych władz. Częściowo tylko inspirowane, ale bez formalnej biurokracji, przez państwo.

Wewnętrzną sprawą Niemiec była też na pewno krwawa rozprawa Hitlera z brutalnym i nieobliczalnym Ernstem Röhmem, w czym niektórzy obserwatorzy chcieli się dopatrzeć zwycięstwa nazizmu umiarkowanego. Co prawda, przy okazji zamordowano przeciwników

Hitlera z innych ugrupowań, ale znalazł się wśród nich również wpływowy, a bardzo Polsce nieprzyjazny generał von Schleicher. Słowem Nowe Niemcy robiły u siebie porządki po swojemu i wygodniej było Europie myśleć, że jej to nie dotyczy. Przyjmowano do wiadomości pokojowe deklaracje Hitlera z nadzieją, że prześwitujące w nich gdzieś groźby nie przekreślają pojednawczej intencji. Politycy europejscy musieli przyznać Hitlerowi polityczną skuteczność, najwidoczniej wrodzoną, skoro jedyną szkołą, z którą miał do czynienia i to negatywnie, była Wiedeńska Akademia Sztuk Pięknych. A więc talent, który zawsze budzi respekt rutyniarzy.

Narodowosocjalistyczna rewolucja była w tym rozumieniu sprawą czysto niemiecką, nie eksportową i tym jej nacjonalistycznym ograniczeniem pocieszał się nawet świątły polski liberalny dziennikarz Antoni Sobański, miłośnik niemieckiej cywilizacji i kultury, którego przerażał nazistowski antysemityzm, palenie książek, partyjne wiece i defilady.

Ale najwięcej inicjatywy w obronie pokoju przejawiał właśnie Hitler. Na otwarciu berlińskiej olimpiady wypuszczono

w powietrze 20 tysięcy białych gołębi, które od dawien dawna były symbolem pokoju: Picasso nic tu oryginalnego nie wymyślił, po prostu narysował, już po wojnie, swojego wdzięcznego gołąbka. Walka o pokój, dla której trzeba było czasem pogrozić wojną, to zresztą ulubiona technika geopolityczna państw totalitarnych, osobiście dyktatorów. Przecież Stalin i jego satelici zaraz po wojnie zajmowali się walką o pokój, prowadząc zimną wojnę ze znacznym międzynarodowym powodzeniem. Co do mieszania się w sprawy wewnętrzne, przeciw czemu Beck występował w imieniu Polski, wszelkie władze, którym demokracja sprawia kłopoty, bardzo tego nie lubią. Dla Polski drażliwy problem mniejszości narodowych, raz po raz wywlekany na posiedzeniu Ligi Narodów stanowił również sprawę wewnętrzną. Owe mniejszości, prawie 1/3 polskich obywateli, nie zawsze były lojalne, jak również często źle traktowane. Skargi podnosiła głównie mniejszość niemiecka. I dopiero Hitler, póki prowadził z Polską swoją grę, czyli do czasu, potrafił wyciszyć te głosy. Właśnie w tym okresie pokojowego sąsiedztwa, jeden z przywódców mniejszości niemieckiej, Wiesner, nazwał Hitlera najbardziej oddanym i bezinteresownym przyjacielem narodu polskiego.

A w wielu lokalach niemieckiej organizacji, obok portretu kanclerza Hitlera, wisiał portret marszałka Piłsudskiego.

Prowadząc ze wszech miar korzystną dla Trzeciej Rzeszy politykę obrony pokoju, musiał Hitler na ów czas rozmów i rokowań

przeplatanych szantażami zapomnieć o swoich prawdziwych przekonaniach, które wyraził najpełniej

w „Mein Kampf”.* Ta pozycja powinna była dać wielu ludziom pobłażliwie śledzącym wydarzenia za naszą zachodnią granicą wiele do myślenia. Mówił tam Hitler, bez zbędnej hipokryzji, co naprawdę myśli i jaki los gotuje Słowianom po niemieckim zwycięstwie. Tymczasem przez parę lat musiał wdziewać owczą skórę. Mógł być sobą na parteitagach, czy

w gronie zaufanych współpracowników. Ale na zewnątrz musiał sprawiać wrażenie obliczalnego reprezentanta zawsze przecież liczącej się w Europie niemieckiej racji stanu, wyraziciela aspiracji wielkiego europejskiego narodu, który zapewne przesadza z nienawiścią do Żydów, chociaż antysemityzm na starym kontynencie był całkiem popularny. Ale za to deklarował się Hitler jako przysięgły wróg komunizmu, którego wszyscy się bali. Z tego co wiadomo o cyklofrenicznej psychice Hitlera, to udawanie, przebieranie się, przywdziewanie i zdejmowanie masek musiało go wiele kosztować. I myślę, że wreszcie z ulgą w końcu kwietnia 1939 r. wyrzucił z siebie, pod adresem Polaków, nie tylko czego od nich żąda, ale co naprawdę o nich myśli. Tej siły i szczerości oczekiwali od wodza już od dawna hitlerowcy, hamujący z trudem swoją narodowosocjalistyczną gotowość.



www.feedbooks.com
Food for the mind